

Nietypowo, bo o kwotach i parytetach

13 grudnia 2010

Raz na jakiś czas poruszam na blogu również problemy społeczne. Zjazd Kół Naukowych i Artystycznych UW zainspirował mnie do napisania notki na temat kwot i parytetów w kontekście udziału kobiet w życiu publicznym.

Na wstępie chciałbym zaznaczyć, że jestem zwolennikiem jak najszerszego udziału kobiet w życiu publicznym. Bardzo się cieszę, że w zarządzie koła naukowego, w którym mam przyjemność być prezesem, na pięć osób, trzy z nich to dziewczyny. Warto podkreślić, że prawo w żaden sposób nie dyskryminuje nikogo ze względu na płeć, dając równe możliwości mężczyznom i kobietom. Wiele kobiet fantastycznie sobie radzi, będąc przedsiębiorcami, pracując w korporacjach, w samorządach, czy w polityce.

Trzeba jednak pamiętać o tym, że z niewolnika nie ma pracownika. O ile naszym celem powinno być zachęcenie pań do aktywnego udziału w życiu publicznym, o tyle przyznawanie sztucznych kwot jest kompletnie bez sensu. Wybierać powinniśmy osoby kompetentne, a kompetencja nie ma płci. Przypomnijmy, 4 grudnia Sejm przyjął ustawę o wprowadzeniu kwoty 35% dla kobiet i mężczyzn na listach wyborczych

Dlaczego aktywizacja kobiet przy pomocy ustawodawcy to fatalny pomysł?

Po pierwsze dlatego, że najpierw przekonać trzeba same kobiety do udziału w życiu publicznym. Dla przykładu, w mojej rodzinie kobiety kompletnie nie interesują się polityką i chcą się trzymać od niej jak najdalej. Efekt tego jest taki, że np. głosują tak, jak zasugeruje im ja z moim tatą. Nie tylko w mojej rodzinie tak jest – kobiety patrzą często na politykę z olbrzymim obrzydzeniem i nie chcą w żadnej formie w niej

uczestniczyć. Wolą zająć się sprawami – w ich mniemaniu – ważniejszymi, takimi jak rodzina czy kariera zawodowa itd. Przekonać kobiety można przy pomocy edukacji i odpowiednich, dobrowolnych programów, skierowanych również do mężczyzn. Jest to proces dłuższy niż przyjęcie ustawy, ale po pierwsze, skuteczniejszy, a po drugie, zdrowszy, bo wynikający z naturalnych przesłanek.

Po drugie, ta regulacja wcale nie zagwarantuje zwiększenia udziału kobiet w parlamencie. Wystarczy, że liderzy partyjni tak skonstruują listy, by te kilka kobiet, dopisanych tylko i wyłącznie ze względu na ustawę, znalazło się na niebiorących mandatów pozycjach na liście. Kwota zostanie utrzymana, a kobiet w polityce nadal będzie tyle samo (lub niewiele więcej). Prawdopodobnie dopisywane będą często nieprowadzące kampanii duchy.

Po trzecie, to dyskryminacja kobiet ze względu na płeć. Ustawodawca zakłada, że są one niepełnosprawne i nie potrafią bez jego pomocy trafić na listy. Nie przez przypadek istnieje zależność według której poparcia dla kwot i parytetów dla kobiet jest najniższe wśród najlepiej wykształconych pań. Wiedzą one, że nie ma żadnego powodu, dla którego określona kobieta nie mogłaby zawodowo zdeklasować np. swojego męża.

Po czwarte, w Polsce Polki stanowią większość, więc – teoretycznie – gdyby chciały, to by głosowały na inne Polki i rozmawialibyśmy o kwotach, owszem, ale dla mężczyzn. Jak daleko nasze panie są od takiego patrzenia na politykę, pokazuje fakt, iż poparcie dla Partii Kobiet to granica błędu statystycznego. Kobiety często nie tylko same chcą się trzymać z dala od polityki, ale też głosują z premedytacją na mężczyzn.

Po piąte, nawiązując do czwartego, są po prostu inteligentniejsze niż ustawodawca i wiedzą, że poseł i posłanka w parlamencie nie reprezentują płci, a naród.

Autor: Patryk Gorgol

Źródło: [Kącik Dyplomatyczny](#)